

Mój warszawski szal. Druga strona Powstania



■ Włodzimierz Nowak, Angelika Kuźniak 23-08-2004, ostatnia aktualizacja 22-08-2004 11:27

W Warszawie stoczyłem 19 walk na noże i bagnety. W piwnicach. Piwnice to była druga Warszawa. Kiedy walczysz w piwnicy, jest cicho, nic nie widzisz. Byłem szybszy. Zabiłem tego Polaka. Warszawa to moje najstraszniejsze przeżycia

Lato 1944. W gospodzie jedzą zupę fasolową, Mathi Schenk z Peterem, kolegą z wojska. Obaj w mundurach Wehrmachtu. Urwali się z koszar na miasto. Gadają o tym durniu Felsie i że wczoraj jakimś chłopakom znowu udało się zwać z wojska. Mathi nie może uciekać, bo gestapo zagroziło, że wezmą jego ojca na front wschodni. Jest najmłodszy w 46. Brygadzie Szturmowej, wołają na niego Bubi. Niedawno skończył 18 lat. Stacjonują pod Bonn. Do brygady wzięli ich podstępem. Najpierw szukali chętnych do SS, potem ochotników do nowej brygady szturmowej. Nikt się nie zgłosił. To ogłosili, że potrzebują szoferów ciężarówek. Chłopacy się pchali. Każdy chciał pojeździć. Mathi był szczęśliwy, że się dostał. Dali im nowe mundury, okulary ochronne i przywieźli pod Bonn. Tu przywitali ich porucznik Fels: - Bezczelne świnię, co się tak wystroiliście jak cyrkowcy, zdejść te okulary!

O ciężarówkach nie było już mowy.

Oberżysta podkręca radio. Mówią o Führerze, że był zamach, że chyba nie żyje. W gospodzie robi się cicho. Po ulicy jeżdżą żołnierze na motocyklach. Słychać rozkazy. Nagle sala pustoszeje. Jedzenie zostaje. Nikt nie płaci. Oberżysta chowa się za ladę. Mathi z kumplem uciekają tylnymi drzwiami.

W koszarach zamieszanie, wyją syreny. - Czy Hitler nie żyje? - pyta jakiś żołnierz.

- Zamknąć mordy! Nawet jeśli zostaliśmy całkiem sami, pozostaniemy wierni naszemu Führerowi. Kto się zawaha, będzie rozstrzelany! - wrzeszczy Fels. Ustawia warty wokół koszar, a żołnierze się podśmiewają, że przecież jeszcze broni nie mają.

Karabiny i granaty dostali po kilku dniach. Gotowość. Grała orkiestra. Pomaszrowali na dworzec. Byli pewni, że jada do Francji. Cieszyli się, bo tam łatwiej zwać. Prowiant na dwa dni i pełno czerwonego wina w 20-litrowych kanach. Wagony otwarte, na podłodze siano. Wygodnie. Piją, śpiewają. Grają w karty. Ludzie na polach machają. Na postoju posłali Bubię na tył pociągu, żeby załatwił następne 20 l wina. Pociąg był długi, kiedy ruszył, Bubi nie zdążył do swojego wagonu. Noc przesiedział na schodku między wagonami. Dlatego, jak o świcie wjechali między małe wioski, tylko on był trzeźwy. Od razu pomyślał, że to Polska, bo płasko, chaty pod strzechą. Znow zaczęło się picie. Było gorąco, 1 sierpnia. Leżeli na sianie i wsłuchiwali się w stukot kół. Nagle zobaczył, jak drewno z desek wagonu dziwnie odpryskuje. Krzyki, krew. - Ktoś do nas strzela! Pociąg zaczął się cofać. Ranni umierali, pijani się budzili. - Cholera, na ruski front nas wywieźli. Nawet dowódca kompanii się zataczał; był niezdolny do walki. Jakies dzieci prosiły o chleb. Przez pola biegł żołnierz; miał podarty mundur, twarz umazaną krwią. - W Warszawie wybuchło powstanie! - krzyczał.

W "Bąkowie"

Lato 2004. 1200 km z Warszawy do Büllingen, małej belgijskiej wioski przy granicy z Niemcami (po jednej stronie ulicy knajpa belgijska, po drugiej niemiecka). Okolica malownicza, wiatraki-elektrownie. Mathias Schenk mieszka w chatce po przodkach z żoną i najmłodszym synem. Chata kryta strzechą. Dziadkowie nazwali to miejsce "Bąkowem" od roju bąków, które gnieździły się w starym dębie.

Nad kominkiem Matka Boska Częstochowska. Dar od polskich chłopów z Ochodzy, którzy w 1945 roku uratowali Mathiasowi życie.

Pojechaliśmy do "Bąkowa", żeby wysłuchać relacji z Powstania Warszawskiego. Relacji drugiej strony.

Opowiada 78-letni Belg Mathias Schenk, wtedy 18-letni Sturmpionier, (saper szturmowy - torował drogę esesmanom). Jego pociąg był ostatnim, który 1 sierpnia wjechał do powstańczej Warszawy.

- Tego się nie da tak opowiedzieć... - krzywi się staruszek. - Jak się pali ciała, to one się poruszają. Słychać odgłosy, jakby jęki. Wtedy myślałem, że oni naprawdę jeszcze żyją. I te muchy, robaki. Ilu ludzi zostało zabitych w Warszawie? Chyba ze 350 tys. Tak?

Ordynans kapitana

- Od dziecka chciałem zostać weterynarzem. Mielśmy gospodarstwo. Kiedy w 1940 roku niemieckie wojsko pojawiło się w naszej wiosce, miałem

14 lat. (Region Eupen-Malmedy to dzisiaj Belgia niemieckojęzyczna. Jako teren przygraniczny przechodził z rąk do rąk, w 1919 roku został przyznany Belgii traktatem wersalskim. Hitler po zajęciu Belgii traktował te tereny jak część Rzeszy). Niektórzy sąsiedzi zaczęli się witać "Heil Hitler!". U nas mówiło się po staremu "Guten Tag". Patrzyli na nas jak na zdrajców, bo nie wywiesiliśmy w oknach swastyk. Naziści pytali ojca, dlaczego nie jestem w Hitlerjugend.

Przesłuchiwali rodziców, bo dwaj moi bracia uciekli w głąb Belgii. Było gestapo, mnie też pytali o braci. Trzeci brat ukrywał się w okolicy. Złapali go. Wrócił z frontu rosyjskiego ciężko ranny.

Najlepszym moim przyjacielem był kuzyn Daniel, uzdolniony majsterkowicz. Zrobił nawet potajemnie radio. Skrzynka odbierała tylko BBC. Na słuchaniu audycji przyłapali nas ojcowie. Dali lanie i rozbili skrzynkę.

Daniela powołali do Wehrmachtu. Został radiotelegrafistą; poległ na Krymie.

Od dziecka znałem drogę przez zieloną granicę. Pomagaliśmy uciekać do Belgii Żydom z Niemiec, szmuglowaliśmy jedzenie. Ostatni raz szedłem przez nią na Wielkanoc 1944, już w niemieckim mundurze. Złapali mnie, ale miałem szczęście, bo służbę pełnił pan Furt, szewc z Losheim. Przed wojną szył nam buty. Pozwolił uciec.

Wezwanie do obowiązkowej pracy dla Rzeszy dostałem w październiku 1943 roku. Pierwsze Boże Narodzenie poza domem. Przepustek nie było. W dwudziestu przeskoczyliśmy płot i poszliśmy na pasterkę. Za karę musieliśmy opróżniać latryny, biegać po kupie gnoju i śpiewać kolędy.

Pół roku później wzięli mnie do wojska; specjalność saper. Część chłopaków zwiąła. Ja nie mogłem, bo moja rodzina była już na cenzurowanym i grozili, że wyślą ojca na front wschodni. Na szkoleniu saperskim nie cierpiałem ćwiczeń wodniackich. Pływać się nie nauczyłem, bo kapitan wziął mnie na ordynansa.

ŹRÓDŁO:

DUŻYFORMAT

Kombinowałem jak mogłem, żeby wyrwać się na parę dni do domu. Kiedy szef kompanii zapytał, kto ma w domu dość kur, żeby przywieźć sto jaj na śniadanie wielkanocne, skłamałem i dostałem cztery dni urlopu. Zbierałem jaja po sąsiadach. W wiosce złapali akurat rosyjskiego jeńca, który uciekł z obozu. Pędzili go bosego ulicą, ludzie go okładali. Wtedy obowiązywała już instrukcja, jak traktować podludzi. Moja mama dała nieszczęśnikowi parę butów i masło. Sąsiedzi donieśli i nie dostaliśmy kartek na buty i masło.

Kiedy wracałem do wojska, matka dała mi różaniec z czarnych paciorków.

Gdzie byliście, świnię?!

- Wkraczaliśmy do Warszawy po kocich łbach. Polacy strzelali, ale nie było ich widać. Na domach białe flagi. Skoczyłem przez wybite okno. Na schodach leżeli mężczyzna i kobieta zabici strzałem w czoło.

Szturmowali kolejne domy, wszędzie cywile, kobiety, dzieci. Wszyscy z dziurą w głowie. Dotarliśmy do koszar SS. Druga kompania, która przyjechała ciężarówkami, źle skręciła i trafiła wprost pod polskie pozycje. Kilka ciężarówek ponoło, żołnierze uciekali. Wielu biegnęło pod lufy Polaków. Sierżant upadł kilka metrów ode mnie.

Następnego dnia mieliśmy zdobyć jakąś drogę. Szliśmy przez ogródki działkowe. Nasz dowódca porucznik Fels gnał nas na przód. Trzeba było wysadzić drzwi domu, z którego strzelali najbardziej. Wrzuciliśmy granaty i wskoczyliśmy do środka. Otoczyli nas Polacy, krótka walka na noże i ucieczka w krzaki. Czterech z naszego wagonu zginęło. Fels znowu gnał nas do ataku, ale Polacy siedzieli dobrze ukryci. Nie mogliśmy się wycofać, bo z tyłu też strzelali. Całą noc siedzieliśmy w ogródkach jak sponżone zwierzęta. Chciało mi się pić. Znalazłem pomidory. Polacy ciągle nas ostrzeliwali. Następnego dnia pod wieczór przyszła na pomoc piechota, ale nie posunęliśmy się naprzód. Potem nadciągnął oddział SS. Dziwnie wyglądali, nie nosili dystynkcji, cuchnęli wódką. Zaatakowali z marszu, "Hurraa!" i ginęli tuzinami. Ich dowódca w czarnym skórzanym płaszczu szalał z tyłu, pędząc następnych do ataku. Przyjechał czołg. Pobiegliśmy za nim z esesmanami. Kilka metrów przed budynkami czołg został trafiony. Wybuchł, czapka żołnierza poleciała wysoko w powietrze. Znowu uciekliśmy. Drugi czołg wahał się. My osłanialiśmy przód, a esesmani wypędzali z okolicznych domów cywilów i obstawiali nimi czołg, kazali siadać na pancerczu. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Pędzili Polkę w długim płaszczu; tuliła małą dziewczynkę. Ludzie ściśnięci na czołgu pomagali jej wejść. Ktoś wziął dziewczynkę. Kiedy oddawał ją matce, czołg ruszył. Mała wysunęła się matce z rąk. Spadła pod gąsienice. Kobieta krzyczała. Jeden z esesmanów skrzywił się i strzelił jej w głowę. Pojechali dalej. Tych, co próbowali uciekać, esesmani zabijali.

Atak się udał. Polacy cofali się. Biegliśmy za nimi. Za nami z piwnic wychodzili ludzie z podniesionymi rękami. "Niś partizanii!" (nie jesteśmy partyzantami), krzyczeli. Nie widziałem, co się tam dzieje, bo ostrzeliwaliśmy się z Polakami, ale słyszałem, jak ten esesman w skórzanym płaszczu krzyczał do swoich ludzi, żeby zabijali wszystkich. Kobiety i dzieci też.

Wpadliśmy za Polakami do jakiegoś domu. Było nas trzech. My na parterze, Polacy atakowali z pięt i piwnicy. Całą noc paliliśmy w pokoju różne sprzęty, żeby trochę widzieć. Co chwila walczyliśmy na bagnety. O świcie zobaczyłem, że zostaliśmy we dwóch, trzeci kolega leżał z poderżniętym gardłem. W każdym pokoju były ciała. Z dachu domu naprzeciwko strzelał snajper. Trafiliśmy go, zwałił się i zahaczył nogą o belki. Wisiał z głową w dół. Żył jeszcze długo.

Kiedy wracaliśmy, na ulicach leżały ciała Polaków. Nie było miejsca, trzeba było iść po zwłokach; w tej gorącoce szybko się rozkładały. Słońce zasłaniał kurz i gęsty dym. Mnóstwo robaków i much. Byliśmy usmarowani krwią, mundury się lepily. Przywitał nas porucznik Fels, głupi fanatyk: "Gdzie byliście, bezczelne świnię?!". Chwalił SS za dobrą robotę. Nic nie mogłem zjeść, wymiotowaliśmy.

Mówiliśmy o nim "rzeźnik"

W koszarach Bubi usłyszał, że ten wielki esesman w czarnym płaszczu to Oskar Dirlewanger, a jego ludzie to kryminaliści wyciągnięci z więzień. Więcej o "towarzyszach broni" dowiedział się dopiero po wojnie.

W 1940 roku za zgodą Himmlera Dirlewanger powyciągał z więzień kłusowników, bo "posiadali zadziwiającą sprawność strzelecką" i umieli robić pułapki. Sam Dirlewanger, doktor nauk politycznych, od 1923 roku członek NSDAP, też już siedział w więzieniu. Za napastowanie nieletnich.

Szkolili się w obozie Oranienburgu. Wstawili się okrutnymi pacyfikacjami na Lubelszczyźnie i Białorusi. Straty jednostki uzupełniano nowymi kryminalistami, często z wyrokami śmierci, i esesmanami z karnych jednostek. Latem 1944 awansowali do brygady.

5 sierpnia Himmler rzucił ich do tłumienia Powstania w Warszawie.

SS-Sturmbrigade "Dirlewanger" atakowała od strony Wolskiej i Towarowej, pacyfikowała Starówkę, Powiśle, Górny Czerniaków i Śródmieście. Za tłumienie Powstania już w połowie sierpnia Dirlewanger dostał awans na SS-Oberführera, a pod koniec września odznaczono go Krzyżem Rycerskim Orderu Żelaznego Krzyża.

- Wtedy w piwnicach Warszawy mówiliśmy o nim "rzeźnik". Ale po cichu, bo u Dirlewangera droga na sznur była krótka. Miał zwyczaj wieszania co czwartek, Polaków albo swoich, za byle co. Często sam odkopywał wieszanym stołki.

W restauracji stary Schenk siada w kącie, zawsze plecami do ściany.

- Głupi zwyczaj - uśmiecha się - też pamiętka z Powstania.

- Po paru dniach walk zostaliśmy przydzieleni do Dirlewangera, po trzech saperów szturmowych na każdy pluton SS. Mieliśmy torować esesmanom drogę, wysadzać przeszkody i drzwi. Wskakiwaliśmy do domów i wypędzaliśmy z nich ludzi. Podlegaliśmy Felsowi, ale w walce wykonywaliśmy rozkazy dirlewangerowców.

Zawsze na przodzie. Podbiec, założyć ładunek i po detonacji wskoczyć do budynku. Za nami szła horda Dirlewangera. Wyglądali jak lumpy; mundury brudne, podarte, nie wszyscy mieli broń, brali zabitym. Rano dostawali wódkę. My, saperzy, też. Piło się na pusty żołądek, przed atakiem się nie je. Jak trafią w pusty brzuch, to się może wylizasz, jak w pełny, to zdychasz w bólach.

ŹRÓDŁO:

DUŻYFORMAT

Dirlewanger szedł z tyłu, czasem jechał w czołgu, zawsze dobrze osłaniany. Pędził swoich. Tym, którzy się ociągali, strzelał w plecy.

Pielęgniarka z małą białą flagą

- Do zwykłych drzwi od kamienic i domów wystarczył duży łom. Pod te mocniejsze podkładaliśmy ładunek wybuchowy albo wiązanekę z trzech granatów. Ciężkie podwójne drzwi Pałacu Biskupiego wyleciały w dwie strony. W środku wszystko było purpurowe. W jadalni stało jedzenie na stole. Jeszcze ciepłe. Nie spróbowaliśmy, baliśmy się, że zatrute.

Trzeba wiedzieć, gdzie podłożyć ładunek. Z boku, na środku. To zależy od tego, w którą stronę mają wylecieć drzwi. I wszystko jak najciszej, bo Polacy za drzwiami słuchali i strzelali. Więc jak się zakładało ładunek z lewej albo na środku, to się najpierw skrobało drzwi z prawej strony, żeby zmylić Polaków.

Podkładałem ładunek pod duże drzwi, gdzieś na Starym Mieście. Usłyszeliśmy ze środka: "Nicht schießen! Nicht schießen!" (Nie strzelać). W drzwiach stanęła pielęgniarka z małą białą flagą. Weszliśmy do środka z nastawionymi bagnietami. Ogromna hala z łózkami i materacami na podłodze. Wszędzie ranni. Oprócz Polaków leżeli tam ciężko ranni Niemcy. Prosilili, żeby nie zabijać Polaków. Polski oficer, lekarz i 15 polskich siostr Czerwonego Krzyża oddało nam lazaret. Ale za nami biegli już dirlewangerowcy. Zdażyłem wepchnąć jedną z siostr za drzwi i zakluczyć. Słyszałem po wojnie, że przeżyła. Esesmani rozstrzelali wszystkich rannych. Rozwalali im głowy kolbami. Niemieccy ranni krzyczeli i płakali. Potem dirlewangerowcy rzucili się na siostry, zdzierali z nich ubrania. Nas wypędzili na wartę. Słychać było krzyki kobiet. Wieczorem na Adolf Hitler Platz był wrzask jak na walkach bokserskich. Wdrapaliśmy się z kolegą po gruzach, żeby zobaczyć, co się dzieje. Żołnierze wszystkich formacji: Wehrmacht, SS, kozacy od Kamińskiego, chłopcy z Hitlerjugend; gwizdy, nawoływania. Dirlewanger stał ze swoimi ludźmi i się śmiał. Przez plac pędzili pielęgniarki z tego lazaretu, nagie, z rękami na głowie. Po nogach ciekła im krew. Za nimi ciągnęli lekarza z pętlą na szyi. Miał na sobie kawałek szmaty, czerwonej, może od krwi, i kolczastą koronę na głowie. Szli pod szubienicę, na której kołysało się już kilka ciał. Kiedy wieszali jedną z siostr, Dirlewanger odkopnął jej cegły spod nóg. Nie mogłem na to patrzeć. Pobiegliliśmy z kolegą do kwatery, ale na ulicach kozacy Kamińskiego pędzili cywilów. Mówiliśmy na nich Hiwis - od Hilfswillige (ochotnicy, chętni do pomocy). Obok upadła Polka w ciąży. Jeden z Hiwis zawrócił i dzielił ją pejczem. Próbowwała uciekać na czworaka. Stratowali ją koźmi.

Polacy śpiewali coś skoczego

- Spaliśmy w piwnicach. Na kwaterze między kolejnymi szturmami piło się dużo wódki, gadało. "Może jutro mnie

postrzelą - mówiliśmy - i wrócę do domu".

Mieliśmy koszmary, krzyczałem przez sen. Wtedy towarzysze cucili mnie zimną wodą. "Bubi, du hast den Warschaukoller" (Bubi, masz warszawski szaf) - mówili.

Spaliliśmy w ubraniach, ciągle alarmy; "Raus! Raus!" - wrzeszczał Fels. Nieraz gdzieś przez ścianę słychać było Polaków. Raz nawet śpiewali coś skoczego. Czasem sobie popłakałem. Bo jak szturmujesz, to strachu nie ma, ale na kwaterze się trzęsiesz. Piliśmy.

Komando wniebowstąpienia

- Wyszliśmy mur, który zasłaniał duże podwórze. SS chciało szturmować budynki naprzeciwko. Kiedy kolega walił łomem w drzwi, zobaczyłem po lewej Polaka. Pociągnąłem kolegów w dziurę w ścianie, ale obaj już dostali. Jeden cały magazynek, drugi w płuco, kula odbiła się od nieśmiertelnika. Kiedy oddychał, z ust wypływała krew. Dziurę w płucach zatkałem mu ziemią. Leżałem z martwym i rannym, przycisnąłem się do muru, modliłem się. Kolega zajęczał, Polacy rzucili granaty. Jeden odrzuciłem, drugi poturłał się za daleko. Byłem czerwony od krwi i kawałków mięsa. Po południu czterech z Wehrmachtu przybiegło z noszami. Udało nam się przejść, ale ranny kolega dostał trzy strzały i zmarł. Nie mogłem wydobyć z siebie słowa, miałem dreszcze i ciągle wymiotowałem. Major dał mi dzień odpoczynku, więc widziałem, jak grzebali kolegów. Ściągnęli im buty, wrzucili do wykopu z innymi zabitymi. Posypali wapnem. Polscy cywile musieli robić to wszystko.

Koledzy ginęli, przydzielali mi nowych. Miałem głupie szczęście, może przez to, że kiedy Fels gnał mnie do akcji, życzył, żebym "zdechł jak pies" (Schenk się śmieje). Chyba mnie nie lubił. Naszą grupę saperów szturmowych nazywaliśmy wtedy Himmelfahrtskommando (komando wniebowstąpienia), bo zawsze szliśmy na przodzie, a Polacy nie wiadomo gdzie, nie wiadomo, skąd strzelają. Kulka świsnie i leci do nieba. Szybko się jednak uczyliśmy od sprytnych Polaków, jak się kryć. Potrafili strzelać spod lekko uniesionej dachówki. Wielu walczyło w niemieckich mundurach i bardzo dobrze mówiło po niemiecku. Nie mogliśmy nosić naszych stalowych hełmów, bo Polacy je nosili. Baliśmy się, że zaczniemy strzelać do swoich.

Na początku kiepsko strzelałem. Karali mnie za brak celności. Nie umiałem przymknąć lewego oka. Podejrzewali, że symuluję. Wysłali do lekarza. Kazał strzelać z drugiej strony. Zostałem strzelcem lewoocznym. Odwrotna pozycja przydawała się w walkach ulicznych.

Kiedyś w walce wręcz Polak wyszarpnął nowemu koledze karabin. Przybiegł Fels z esesmanami, kazał chłopakowi go odzyskać. Ten drżał jak osika. Ale Fels chwycił pistolet i pognał chłopaka za Polakami. Chłopak zaraz wrócił bardzo poraniony nożem; krwawił i krzyczał.

Znów zostałem sam. Moi towarzysze z grupy uderzeniowej byli ciężko ranni od noża i bagnetu. Był 6 sierpnia. Od tego momentu daty mi się zacierają. Tylko najcięższe walki mogę podać w jakiejś kolejności, ale bez dat. Pamiętam, że 14 sierpnia dostałem kartkę od pastora z Manderfeld, ostatnią wiadomość z domu. 15 września patrzyłem na drugi brzeg Wisły. Zobaczyłem rosyjski czołg. Potem drugi, trzeci. Podjechały do brzegu. U nas wybuchła panika. Rosjanie musieli doskonale widzieć nasze pozycje, nie strzelali. Czołgi znikły między domami.

Coś gorącego

- Leżałem w pokoju na trzecim piętrze. Oficer SS rozkazał nam utrzymać dom. Całe mieszkanie było wysypane grubą warstwą piasku. Dobry pomysł, podziwiałem mieszkańców. Też bym tak zrobił. Musieli się napracować. Piach chronił je przed ogniem. "Po wojnie tylko go usunąć", myślałem. Przez okno rzucałem w kierunku sąsiedniego kina zapalające butelki z benzyną. Dom obrzucony takimi butelkami stawał zwykle w płomieniach. Myślałem, że wykurzyliśmy Polaków, ale oni ciągle strzelali i rzucali granaty. W kurzu kolejnego wybuchu zacząłem zbiegać po schodach. Kiedy mijałem okno na klatce, poczułem ból jak od uderzenia pejcem i coś gorącego. Twarz i ręce we krwi. Czułem, że jestem ciężko ranny. Koledzy też. Zdarli mi spodnie i zaczęli kulać ze śmiechu. Na pośladowku miałem małą szramę. Kula trafiła w manierkę z kawą.

Gefreiter Bubi w gazecie

Chyba jakoś wtedy awansowali Bubiego na Gefreitera (kaprała). Awans był automatyczny po 15 walkach wręcz. Każdą walkę wpisywali do książeczki wojskowej. Nawet Fels bąknął coś o dzielności Schenka. Tym bardziej że we frontowym "Das Weichselblatt" ("Wiślanej Gazecie") napisali, że Gefreiter Schenk uwolnił niemieckich jeńców.

- To był czysty przypadek. Po prostu wysadzałem kolejne drzwi. Zakładam ładunek i słyszę: "Nicht schießen!". Biała flaga w oknie. Drzwi się otworzyły i wyszło 30 niemieckich żołnierzy. Płakali z radości, wycelowali mnie. Mówili, że Polacy, którzy wzięli ich do niewoli, traktowali ich dobrze.

ŹRÓDŁO:

DUŻYFORMAT

Za Warszawę Bubi dostał Krzyż Żelazny drugiej klasy.

Żona śpi długo, ja próbuję ich policzyć

- Czasem pokazują na filmach jakieś sceny z Powstania, ale tam nie ma nic, co ja widziałem. Nikomu jeszcze tak

dokładnie nie opowiadałem. Tak o wszystko pytacie. Macie prawo. Ale wszystko się znowu budzi. Wtedy nie mieliśmy pojęcia, że ci zabici nigdy nie umrą, że będą zawsze obok. Wszystko działo się tak szybko. Krzyki, strzały. Pojedyncze twarze. Jakoś bardzo mocno się uczepliły mojej pamięci.

(Schenk chowa twarz w dłoniach).

- Wyszliśmy drzwi, chyba do szkoły. Dzieci stały w holu i na schodach. Dużo dzieci. Rączki w górze. Patrzyliśmy na nie kilka chwil, zanim wpadł Dirlwanger. Kazał zabić. Rozstrzelali je, a potem po nich chodzili i rozbijali główki kolbami. Krew ciekła po tych schodach. Tam w pobliżu jest teraz tablica, że zginęło 350 dzieci. Myślę, że było ich więcej, z 500.

Albo ta Polka (Schenk nie pamięta, jaka to była akcja). Za każdym razem, kiedy szturmowaliśmy piwnicę, a były w niej kobiety, dirlwangerowcy je gwałcili. Często kilku tą samą, szybko, nie wypuszczając broni z rąk. Wtedy, po jakiejś walce wręcz, trząsałem się pod ścianą, nie mogłem się uspokoić; wpadli ludzie Dirlwangerów. Jeden wziął kobietę. Była ładna, młoda. Nie krzyczała. Gwałcił ją, przyciskając mocno jej głowę do stołu. W drugiej ręce miał bagnet. Najpierw rozciął jej bluzkę. Potem jedno cięcie, od brzucha po szyję. Krew chlusnęła. Czy wiecie, jak szybko zastyga krew w sierpniu...?

Jest też to małe dziecko w rękach Dirlwangerów. Wyrwał je kobiecie, która stała w tłumie na ulicy. Podniósł wysoko i wrzucił do ognia. Potem zastrzelił matkę.

A tamta dziewczuszka, która wyszła nagle z piwnicy, była chuda i niewysoka, jakieś 12 lat. Ubranko podarte, włosy rozczochrane. Z jednej strony my, z drugiej Polacy. Stała pod ścianą, nie wiedziała, gdzie uciec. Podniosła rączki, powiedziała: "Niś partizani". Machnąłem do niej, żeby się nie bała, żeby podeszła. Szła z rączkami do góry. W jednej coś ścisnęła. Była już blisko, padł strzał, główka jej odskoczyła. Z ręki wypadł kawałek chleba. Wieczorem podszedł do mnie plutonowy, był z Berlina. "Czyż to nie był mistrzowski strzał?" - uśmiechnął się z dumą.

Często przychodziły do nas dzieci. Nie mogły znaleźć rodziców. Chciały chleba. Mały Polak przynosił nam jedzenie na wartę. Chyba nie był jeńcem. Nie wiem. Miałem wtedy wartę w fabryce tekstyliów w piwnicy. Nie mówił po niemiecku, ale potrafiliśmy porozumiewać się gestami. Jak miałem, dawałem mu papierosy. Przechodził esesman. Kiwnął na niego, mały poszedł za nim. Usłyszałem strzał. Pobiegłem, chłopiec leżał martwy na schodach. Esesman skierował pistolet na mnie. Patrzył długo, ale odszedł. Tak było w Warszawie.

Naszą maskotką był kaleki chłopiec, też ze 12 lat. Stracił nogę, ale potrafił bardzo szybko skakać na drugiej. Był z tego bardzo dumny. Zawsze skakał wokół żołnierzy, w tą i z powrotem. Mówiliśmy, że to na szczęście. Trochę pomagał. Któregoś dnia zawołali go esesmani. Skoczył do nich chętnie. Śmiali się, kazali mu skakać w stronę drzew. Widziałem z daleka, jak wsuwają mu dwa granaty do torby. Nie zauważył. Skakał, a oni się śmiali: "Schneller, schneller!" (szybciej, szybciej). Wyleciał w powietrze.

Zwykle budzę się bardzo wcześnie, moja żona śpi długo. Czasem w północy widzę przed sobą zabitych. Czasem próbuję liczyć tych, których sam zabiłem. Nie mogę policzyć.

Kara za niebieskie gatki

- Wody w Warszawie było bardzo mało. W punkcie opatrunkowym stała wanna, do której dolewano świeżej wody. Kiedyś do niej wskoczyłem. Wielu tam wskakiwało. Znajomy sanitariusz powiedział, że w opuszczonej piwnicy jest dużo bielizny. Była niebieska, nieregulaminowa. Swoje wojskowe lumpy wyrzuciłem. Potem za te niebieskie cywilne gatki dostałem od sierżanta tydzień kompanii karnej. Musiałem nosić miny nad Wisłą.

Drugą karną wartę dostałem za księdza. Wyszliśmy tylne drzwi do klasztoru - bardzo ciężkie, prowadziły do piwnicy. Klasztor, ogromny budynek niedaleko Starego Miasta, był już bardzo uszkodzony przez bomby i granaty. Wskoczyliśmy we dwóch do środka. Przed nami stał ksiądz. Trzymał opłatek i kielich. Może to był odruch, nie wiem, uklękliśmy, dał opłatek. Wpadł trzeci z naszej grupy, też dostał opłatek. Wlecieli esesmani, jak zwykle strzały, krzyki, jęki. Siostry były w habitach. Kilka godzin później zobaczyłem tego księdza w rękach dirlwangerowców. Pili wino z kielicha, hostia leżała połamana. Obsikiwali krzyż oparty o mur. Dręczyli księdza; miał zakrwawioną twarz, rozerwaną sutannę. Zabraliśmy im tego księdza, to był jakiś odruch. Esesmani byli zdumieni, ale tak pijani, że nie wiedzieli, co się dzieje. Następnego dnia też niczego nie pamiętali. Księdza oddaliśmy do naszego batalionu, więcej nic o nim nie słyszałem, ale po drodze natknęliśmy się na Felsa. Dostałem za księdza samotną wartę na moście, chyba Kierbedzia. Mosty na Wiśle były już wysadzone, ale część przeseł stała. Rosjanie mieli stanowisko karabinu maszynowego po swojej stronie, my po naszej. Miałem w połowie mostu dzień i noc trzymać straż wywiadowczą. Ukrywałem się za stalowymi dźwigarami. Noc była spokojna. Od czasu do czasu oba karabiny się ostrzeliwały, raczej tak na wiwat, bo były za daleko. W dzień Rosjanie poruszali się dość bez troski. Na zapleczu jeździły małe samochody, przywoziły kuchnię polową. Oficerowie z szerokimi pagonami obserwowali przez lornetki naszą część Warszawy. Żołnierze się opalali.

Na innej karnej warcie ukryty w belach z materiałami w jakiejś fabryce tekstyliów obserwowałem Polaków. W razie ataku miałem wystrzelić czerwoną racę i uciekać. Było ich ze 40. Dowodził oficer w mundurze. Wyglądali nędźnie. Wielu rannych. Widziałem kobiety z bronią, cywilów, dzieci. Broń mieli kiepską. Wieczorem wróciłem z meldunkiem, rano szturmowaliśmy kryjówkę powstańców.

Już nie pamiętam, którego dnia postanowiliśmy zabić tę świnię Felsa. Żeby przeżyć, bo gnał nas ciągle naprzód. W siedmiu czy ośmiu losowaliśmy karabiny. Dwa były nabite. Jak tylko Fels znalazł się z przodu, wypaliliśmy mu w plecy.

Padł, a my uciekliśmy. Nowy dowódca był bardziej ludzki.

Portki ciężkie od złota

- Dziś już nie wiem, czy wtedy wysadzaliśmy Państwową Wytwórnę Papierów Wartościowych, czy raczej Bank Polski. W każdym razie gdzieś w centrum. Nie mogliśmy długo tego zdobyć. Kazali nam zrobić podkop. Kopaliśmy we dwóch, tylko w slipach. Zmienialiśmy się na przodku. Kiedy byłem na przodzie, poczułem dziwny zapach, potem kolega przestał odbierać ziemię. Podczołgałem się, leżał martwy. Podkop wychodził na piwnicę. Usłyszałem Polaków. Pewnie odbili piwnicę. W nocy się wyczołgałem i piwnicami doszedłem do swoich. Nie mogłem rozpo-

znać wartownika. Kazał mi położyć się na ziemi. Wykrzyczałem swoje nazwisko i hasło: "Heidekrug" (Dzban wrzосу). Pytał, dlaczego jestem w majtkach. W końcu uwierzył.

Następnego dnia przywieźli goliata. Cywile musieli torować mu drogę, bo Polacy nauczyli się wysadzać goliaty jeszcze przy naszej linii i dużo żołnierzy ginęło. Goliat wywalił dziurę w murze. Całą noc goniliśmy się z Polakami po piwnicach i piętach. Rano przyjechał czołg i budynek został zdobyty. W piwnicach leżało pełno złotych monet. Upychaliśmy je sobie po kieszeniach, aż portki spadały. Potem złoto znikło. Nasi szeptali, że Dirlwanger je gdzieś wywiózł.

ŹRÓDŁO:

DUŻYFORMAT

Wiedziałem, kto ile będzie żył

- To była chyba moja ostatnia akcja w Warszawie. Zdobywaliśmy jakiś budynek, biegłem przez pole. Leżał ranny żołnierz. Dałem mu wody z mojej manierki i pobiegłem wysadzić drzwi. SS szło za nami. Jak wracałem, zatrzymał mnie Dirlwanger. Wskazał rannego: "Ty dałeś tej świni pić?". Dopiero teraz zauważyłem, że na niemieckim mundurze ranny ma brudną biało-czerwoną opaskę.

"Zastrzel go!" - Dirlwanger dał mi swój pistolet.

Stałem bez ruchu, miałem dość wszystkiego. Dirlwanger był tak wściekły, że nie rozumiałem, co wrzeszczy. Ten Polak patrzył na mnie. Nie zapomnę tego wzroku. W Warszawie nauczyłem się poznawać, czy ranny pożyje dziesięć minut, czy kilka godzin. Jak się widzi tyłu umierających, to się już wie, ile kto będzie żył. Jeden z esesmanów Dirlwangerera wyrwał mi pistolet i zastrzelił Polaka.

Dirlwanger wrzeszczał, że mnie rozstrzela. Ale przybiegli żołnierze z Wehrmachtu, więc zaczął grozić sądem wojennym. Jakiś oficer piechoty zaczął z nim ostro dyskutować. Dałem nogę.

- Pod koniec września podeszli do mnie trzej Polacy z podniesionymi rękami. Oddali karabin maszynowy i dwa pistolety. Jeden mówił perfekcyjnie po niemiecku. Stałem sam na posterunku. Nie wiedziałem, co mam z nimi zrobić. Powiedziałem, że muszą poczekać i lepiej, żeby ich nikt nie zauważył. Miałem szczęście, szybko znalazłem naszego nowego porucznika. Odebrał jeńców osobiście i zaprowadził do SS.

Ostatni przyczółek Powstania skapitulował. Jakiś wysoki oficer przyszedł jako przedstawiciel narodu z białą flagą. Zaprowadziliśmy go do dowódcy batalionu. Widziałem tam naszego majora Wullenberga, Dirlwangerera i innych dowódców. Po paru godzinach Polacy przyszli, ciągnąc za sobą masę ludzi i broń. Wszystkich rannych położono w wielkim magazynie fabryki octu. Nam rozkazano wyjść. Z zewnątrz słyszeliśmy krzyki i strzały. Wiem, co tam się stało.

W dniach kapitulacji natknąłem się na Felsa. Był ciężko ranny, ale przeżył nasz zamach. Obszedłem go z daleka. Dirlwangerera widziałem ostatni raz, jak szedł wśród ruin z dwiema pięknymi kobietami. Miasto płonęło, na ulicach trupy. Jego skórzany płaszcz był podarty. One - blondynka i brunetka - bardzo eleganckie, zadbane. Szczebiotwały wesoło. Nie wiem, czy to Polki, byłem za daleko.

To, co pozostało z Warszawy, wysadzali minery. Zostaliśmy przeniesieni, ale w listopadzie znowu tam byliśmy. Graliśmy w piłkę. Piłka wpadła do piwnicy. Wskoczyłem, żeby ją wyciągnąć. W piwnicy leżały niezliczone ciała, już prawie szkielety.

Rusek, Niemiec czy Mateusz

W Ochodzy, małej wsi pod Gnieznem, jeszcze pamiętają Mateusza, ale nie z czasów, kiedy ukrywał się w stajni Brzewińskich, tylko jako eleganckiego pana, który w latach 80. przyjeżdżał bussem pełnym jedzenia i zachodnich ciuchów. Dary książd rozdzielal wśród parafian.

Zajrzeliśmy do zagrody Libnerów. Józef Libner zmarł w ubiegłym roku. Był rówieśnikiem Mateusza; lubili się mocować, tarzali się po podwórku, ale Mateusz, zaprawiony w walkach wręcz, kładł go na łopatki.

Syn Libnera pokazał nam datę wyciętą na ścianie drewnianej ubikacji: "1946 M.S." - Już dwa razy przerabialiśmy ubikację, ale tata kazał te deski zostawić, bo to pamiątka po Mateuszu.

- Wyciąłem scyzorykiem, jak wyjeżdżałem - Schenk się wzrusza, kiedy opowiadamy o Ochodzy. - Z Józefem byliśmy braćmi krwi. Nacięliśmy sobie nadgarstki i przyłożyliśmy je jak Indianie.

Odwrot spod Warszawy sapera szturmowego Schenka to osobna opowieść. Spisał ją parę lat temu. Z żołnierzy, z którymi 1 sierpnia przyjechał do Warszawy, zostało trzech. Zimą 1944 roku uciekali przed rosyjskimi czołgami i komandami SS, które wieszały uciekinierów na drzewach. Głodni i wycieńczeni kierowali się do Gościeszyna (Godesberg) pod Gnieznem, gdzie rozproszonym żołnierzom wyznaczono miejsce zgrupowania.

- Wyrzuciliśmy prawie wszystką broń. Pasy, hełmy. Kilku miało rany, które próbowali ukryć, żeby ich koledzy nie zostawili. Iwani tropili w śniegu nasze ślady. Odcieśli nam drogę do lasu. Uciekliśmy na środek zamrzniętego jeziora. Nie weszli za nami na lód, ale czołg strzelał w jezioro. Kolega zaczął odmawiać "Ojcze nasz", mówił coraz ciszej, aż zamilkł. Umarł. Kiedy chmury zasłonił księżyc, podpełzaliśmy do brzegu. Rosjanie palili papierosy, czołgaliśmy się między posterunkami. Ukryliśmy się w lesie, ale w południe czołg znowu jechał naszym śladem. Nie miałem już sił, położyłem się w rowie na skraju lasu. Na mundurze miałem biały kombinezon ochronny, podobne nosili Rosjanie.

Znaleźli mnie polscy chłopci. "Rusek? - zapytali. - Niemiec?" - kiwnąłem głową. Wtedy ten najwyższy powiedział po niemiecku: "Biedny chłopcze, jesteś głodny?". Zaciągnęli mnie do domu. Bałem się. "Polacy są przebiegli, podstępni i fałszywi" - uczyli mnie w wojsku. Kiedy do kuchni weszła dziewczyna z dużym nożem, myślałem, że mnie zarżną. Rozcięła mi buty, bo nie mogli ich zdjąć. Miałem złamaną nogę, rękę i liczne odmrożenia. Dali ciepłego mleka. Tak trafiłem do braci Brzewińskich z Ochodzy (już nie żyją). Na starszego, Ignacego, mówiłem "ojciec", a na Wincentego - "wuj". Na mnie wołali Mateusz. Ukrywali mnie w stajni z trzema końmi, Mucką, Gniadym i Murzynem. W mroźne noce spałem nad parownikiem do ziemniaków.

Rosjanom, którzy zaglądali do wsi, Brzewińscy powiedzieli, że jestem ciężko chorym synem, a chorych Rosjanie omijali z daleka. Polskim władzom wmówili, że już pół roku się u nich ukrywam, bo zdezerterowałem z Wehrmachtu.

Dlaczego mnie uratowali? Nigdy się nie dowiedziałem. Chyba z litości; wyglądałem jak pobity dzieciak. Kiedyś mi powiedzieli, że przez czarny różaniec, który znaleźli na piersi, jak zdzierali ze mnie mundur.

ŹRÓDŁO:

DUŻYFORMAT

Byłbym Polakiem

Kiedyś "ojciec" powiedział: "Hitler kaputt", "wojna kaputt" i Mateusz już się nie musiał ukrywać. Wieś lubiła Mateusza, on był w Ochodzy szczęśliwy. Pomagał w gospodarstwie.

- Przesłuchiwali mnie w Trzemesznie, Polak i Rosjanin. Kazali mi się rozebrać. Oglądali, czy nie mam tatuaży SS. Na podwórzu leżał rozstrzelany chłopak w mundurze Hitlerjugend. Kręcili nosem na te 19 walk wręcz w Warszawie, które miałem w książeczce. Ale "ojciec" poręczył za mnie, a książeczkę zamurował w ścianie.

Pamiętam, jak miejscowy proboszcz wrócił z obozu koncentracyjnego. Parafianie wyjechali mu naprzeciw. "Ojciec" też mnie zabrał. Ksiądz szedł, wspierając się laską, chudy i blady, w pasiaku. Pojechaliśmy do kościoła. Pierwszy raz po długim czasie usłyszałem Tantum Ergo, brzmiało tak jak w domu. Ksiądz szedł, śpiewając, przez kościół i błogosławił. Mnie też. Byłem szczęśliwy, pełen wstydu i winy.

Mateusz wyjechał z Ochodzy w czerwcu 1946 roku. Brzewińscy dali mu na drogę 200 zł, chleb i masło.

- Prowizoryczna ambasada belgijska była w Warszawie. Siedziałem na schodkach budynku, który kiedyś zdobywałem. Ludzie mieszkali w ruinach piwnic. Tylko tramwaj jeździł przez Wisłę na Pragę. Wracałem do domu trzy miesiące. Przez polskie areszty, amerykański obóz jeniecki w Berlinie. Belgijska żandarmeria zabrała mnie do Brukseli na przesłuchania. Belgowie mnie nie chcieli. Nie miałem dokumentów. Każdy mógł powiedzieć, że jest Belgiem.

Żonę poznałem po wojnie. Na granicy belgijsko-niemieckiej wszyscy wtedy szmuglowali. Niosła do Belgii prosiaka, ja do Niemiec kawę. Spotkaliśmy się w lesie, wróciłem do domu z prosiakiem.

Mathias Schenk ma trzech synów i córkę. Przez 30 lat produkował w Brukseli szpachlówkę do samochodu i szlifował karoserie. Szpachlówkę Schenk Braun sprzedawał w całej Europie. Teraz firmę prowadzą syn z zięciem.

Dziesięć lat chodził w pielgrzymkach pokutnych do Banneux, gdzie Matka Boska ukazała się małej dziewczynce. W latach 80. organizował w Brukseli akcje pomocowe dla Polaków. 32 razy wiozł do Polski jedzenie, ubrania i pampersy.

- Znowu byłem w Warszawie. Spotkałem się z weteranami Powstania. Byli mili. Jeden opowiadał, jak 1 sierpnia ostrzelał ostatni niemiecki pociąg. W Ochodzy nie wiedziałem już, kim jestem - Belgiem, Niemcem, Mateuszem? Nawet nie wiedziałem, czy Belgia jeszcze istnieje. Myślałem, że moja rodzina nie żyje. Gdybym w marcu 1946 roku nie dostał od nich wiadomości, zostałbym w Ochodzy. I byłbym Polakiem, tak jak wy.

ŹRÓDŁO:

DUŻYFORMAT

Włodzimierz Nowak, Angelika Kuźniak

Tekst pochodzi z portalu Gazeta.pl - www.gazeta.pl © Agora SA
